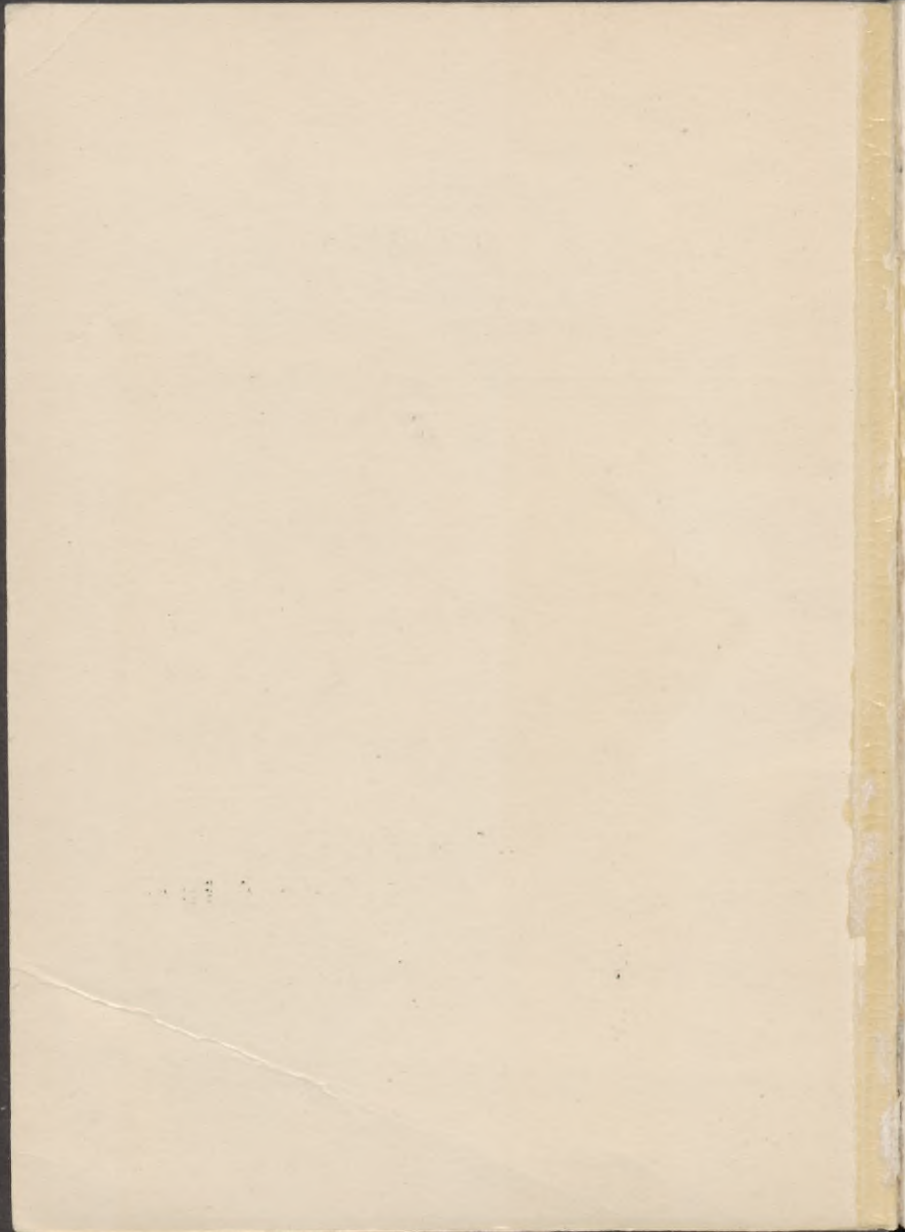


*CZESŁAW
KURIATA*

**NIEBO
ZRÓWNANE
Z
ZIEMIĄ**



CZESŁAW KURIATA
NIEBO ZRÓWNANE Z ZIEMIĄ

THE
MICHIGAN
STATE
LIBRARY

CZESŁAW KURIATA

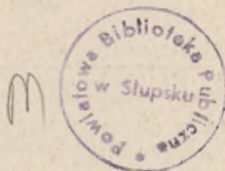


**NIEBO
ZRÓWNANE
Z
ZIEMIĄ**

Słowo wstępne
JULIAN PRZYBOŚ

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Opracowanie graficzne:
KAROL SYTA



Dz. 884-1

428473

32932

I

MBP Słupsk Centrala



32932

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
1961

Zamiast przedmowy, lepiej do czytania tekstu poetyckiego przysposabia milczenie. Wiersz, jeśli jest poezją, mówi więcej niż obszerniejsze jego omówienie. Słowo poetyckie ma bowiem więcej znaczeń niż słowo użyte w mowie codziennej. Zdarzyć się więc może, że wymaga ono objaśnienia, ale wtedy lepiej pomieścić objaśniające zdania na końcu, a nie na początku komentowanych wierszy.

Zamiast więc mówić o wierszach Czesława Kuriaty, zanim one same przemówią do czytelnika tego tomu, wolę zwrócić się do niego samego z kilku słowami koleżeńskiej dorady i serdecznego życzenia.

Nie ma pracy trudniejszej niż praca poety, bo jest to trud, który wtedy dopiero bywa niedaremny, gdy z umiejętności już zdobytych korzysta się tylko po to, żeby je przewyciężyć i zaczynać od nowa. Wprawdzie nic z tego, co już raz inteligencja serca i wysiłek wyobraźni osiągnęły, nie ginie w dyspozycji psychicznej poety, ale jeśli się powtarza, nie służy już poecie. Postawić należy znak równania między poetą a jego dziełem, człowiekiem piszącym a tym, co wyraził w słowie. To, co poeta tworzy, tworzy jego samego. Tadeusz Kotarbiński określił to, odpowiadając na pytanie „Co robi poeta?“, tak: „Poeta przerabia siebie”. Dodam: przerabia z każdym nowym istotnym wierszem.

Panie Czesławie! Pan zna te wysokie wymagania,

jakie stawia tworzenie poezji, przypominam je więc nie tyle Panu, co wielu miłośnikom mowy wiązanej, biorącym nieraz deklamacyjne pieśniarstwo i piosenkarski sentymentalizm za poezję. Wypowiedział Pan dopiero pierwsze słowa, ale słyszę wśród nich już Pana własne. Niechże te własne, wypowiedające przetworzonego przez nie Czesława Kuriatę, nabierają w ciągu dalszej Pańskiej pracy poetyckiej takiej szerokości znaczeń, żeby zostały dosłyszane przez wszystkich.

Julian Przybóś

MATKO

Dźwigałaś gwiazdy w podartym fartuchu
zbierane po polach, wygrzebywane z ziemi
(poznaję po latach, że nie były one podobne
do niebieskich gwiazd),
schylona byłaś łukiem pogodnego nieba,
które burze gromadzi w sobie — nigdy nade mną.

Barwy poznawałem we wzorach twojej chusty,
pierwszą podróż odbyłem po brzdach twojej dłoni,
twardej powierzchnią, dotykłem czulej.

Matko,
byłaś uspokojeniem dla mnie;
o zachodzie przynosiłaś garść wędnących promieni,
poznawałem zmęczenie w zapachu zboża
i dziwił mnie twój oddech dzikiej gruszy.

NIEMOC

Przeszedł tędy nędzarz,
złamany kij rzucił.
Uciekał wystraszony zbieg,
czapkę utopił.
Stała tu matka
i płakała.

Przeszli, uciekają, stoją —
nad rzeką.

Jestem uwięzioną rybą na dnie.

HISTORIA

Mówiono mi że historia

to

wryte na murach znaki proroków
gruzy o barwach drogocennych wspomnień
naga przeszłość w kilku skórach
trochę ciemności w kolorowych sukienkach
i czas co gwizdże tęskną serenadę
pole doświadczenia a nad nim mądre cytaty
milczący giermkowie i gadatliwe sfinksy
cisza nękana pękiem dobieranych kluczy...

Kiedyś widziałem człowieka

który konał ze starości —

Odtąd wiem

co to jest historia.

POD POMNIKIEM

Wszedłem do miasta wszystkimi bramami,
usiadłem pod pomnikiem potężnego króla.
Lud pozostał na przedmieściach,
lud ściekał rynsztokiem.
Kwiaty kwitły bezbarwnie,
tęcza na śmierć zabijała najsilniejszych.

Kobiety z pieskami w torebkach
dziwiły się przechodniom w kapeluszach,
dwie kulawe staruszki skrzyżowały swoje kule —
znak zwycięstwa nad miastem.

Wszedłem bramą,
którą wychodziły myszy spocone.

WEJŚCIE W NOC

W ścianie, co z dnia wyrosła,
umieszczam siebie.
Rozbiegana ręka wyrównuje pion.
Ruch ciemności w dłoniach,
spokój rozwinąć na miejsce odpoczynku.

Górą zastyga nadciągająca noc,
w niej ja wypełniony rozpaloną różą
k r w i ą.
Obrót nogi:
wzniecenie stożka płomieni
stopy zapalonej o brzeg ściany.

Ciała wejście w noc,
osmoza ślimaka o skorupie żółwia.

NIEWIDOMY

I

Twój dotyk
ma najdokładniejszą skalę odczuwania
zamieniasz pod nim
powierzchnię w kształty
grasz na palcach
pieśń radości poznawania
znasz kształty kolorów
znasz zapachy kolorów.

Jeśli na czarnym ekranie
brak miejsca
klękasz wtedy
dotykasz wargami
i drażysz łzę do środka.

Radosnym bólem wchodzisz
i tam na zawsze trwasz.

II

Gdy opowiadam ci o świecie,
chcę,
żebyś dobrze o nim myślał.

Gdy opowiadam ci o świecie,
boję się,
żebyś w połowie mojej opowieści
nie otworzył oczu.

SZANSA

Jest czasem jedna szansa,
ale obracamy się wokół niej
i choć rośnie,
wymijamy ostrożnie.

My,
ambitni,
nie dotykamy,
balansując ciałem, unosimy głowy
o wiele miar naszego ciała.

Jest czasem jedna szansa,
więc na łapach przechodzimy, szukając
niczym ziarna zagubionego dziesięć lat temu.
Oto
nasz wzrok nie widzi korony drzew.

Zaprężeni w ideały
wzrok wbijamy w punkt
jak hak
i zmęczeni zawieszamy kapelusz.

KRÓLESTWO NAGICH ŚCIAN

Kiedy uciekamy z siebie
wszystkie drogi zapełniają się i giną
wszystkie ścieżki pęcznieją
biel wielogwiazdnych pól oślepia
równina nieba i równina ziemi.

Zostajemy w królestwie nagich ścian.

Ciało ostatnim kolorem sływa
barwi kąty kilku płaszczyzn
ciało wyrasta w rozżarzoną dłoń
końce palców przechodzą w zaświaty
trwamy barwą oka i drzeniem rąk
w królestwie nagich ścian.

NIEPOKÓJ O MIEJSCE

1.

Co dzień chodzisz ulicą,
jeździsz tramwajem,
zawiązujesz krawat,
rozbierasz się,
strzepujesz pył z rękawa,
mówisz grzecznie i niegrzecznie...
To ci się podoba — chciałbyś krzyknąć z zachwytu,
ale nie wypada — musisz być jak oni.
Wypierasz sobą tyle a tyle powietrza;
kiedy śmiejesz się, mówią: „stracił na wadze”,
gdy jesteś smutny, mówią: „wagi przybyło”.
Ich sąd o tobie to sąd o koniu, psie, rzeczy;
nie należy brudzić, nie robić hałasu,
nos unosić na wysokość pożądaną.
Musisz być jak o n, o n a, o n i...

Ale nie wracasz do nich — wracasz do siebie.

Gdzie miejsce tylko dla ciebie?
Co sobą spełniasz, co dopełniasz?

2.

Kiedyś Werter po ziemi chodził boso,
w płóciennej koszuli jak chłop cieszył się owieczką,
siadał wśród brudnych dzieci i cukierki rozdawał.
Studnia była jedynym konfesjonałem,
chowal tu swoją twarz między niebem a niebem.
Szczęśliwy wyzbywał się Ziemi.

A kiedy Werter umarł,
w kamienicy mówiono ze zdziwieniem:
„taki porządny młodzieniec
zastrzelił się leżąc z butami w łóżku
i kilka kantów miał na spodniach...”

ZIEMI CZARNEJ NIE PRZYJMĄ DO NIEBA

I

Pędzę resztkami świadomości
to jest autobus — zawiezie daleko
to jest tramwaj — zawiezie najdalej
zielony tramwaj czerwony tramwaj
piękny szlachecki herbowy powóz
płyta chodnika to moje królestwo
to jestem ja — sprawdzam siebie ręką
to jest moja ręka — drugą sprawdzam
tłumy odpływają w świetle neonów
smutne godziny cementem oklejają ciało
smutne godziny zabierają miasto i ludzi.

II

Gdzie znajdę skrawek ziemi
na którym wszyscy będą istnieć dzięki mnie



moje odejście będzie odejściem wszystkich
ruchem dziecka każda podróż
uśmiech sprawiedliwie dzieli między wszystkich
a miłość trwa bez względu na pory roku.

Gdzie znajdę skrawek ziemi
na którym szczerłość prosta jak dziecięce klocki.

III

Giną ostatnie kolorowe ptaki dzieciństwa
już nie pieją koguty na płocie wokół domu Baby Jagi
odchodzi ostatni ekspres ze wspomnieniami
umarłe od zimna myśli moje dziecinne
składają w żelaznych pancernych trumnach.

Nie ma na nich napisu ateisty — jest znak radioaktywnego
nie ma na nich znaku krzyża — jest znak atomu. [pyłu

IV

Japońskie miasto wzięto do nieba
Ziemia nie zmieści się w niebie
Ziemi czarnej nie przyjmą do nieba.

Może
aniołowie będą zbierać rozproszone czarne kawałki
tańczące pożegnalny taniec...

Może

aniołowie zanosą do nieba ziarna świętej męczennicy
wysypią nimi drogi niebieskie —
święci nie będą się ślizgać i nóg nie połamią...

USIŁOWANIA

Wyboru

Dymy już nic nie przesłonią
gałąź sucha gałąź kwitnąca
zagubienie odnajdywanie śladu
nie zmieni nie utrwali.

Rozkraczony na chodniku
słup podparty podtrzymujesz siebie
żadnej nici z nim z nią
ręce dwa potoki w szumie
dałbyś wiele za stronę zdecydowaną
zdobycie argumentów na miarę siebie.

Uderzasz pięścią w dno świadomości
ani reakcji bębna ani pszczoły
rzucony kamień.

Odchodzisz rozchwiany
zawiasy nie spełniają zadania

nie ma drzwi w tobie dla nikogo
bo nikt nie wszedłby. tak jak ty.

Kłękasz w sobie pełniesz za źdźbłem
zostajesz na chodniku kreską
cień kości o zawartości mięszu
nikt tego nie wie.

Zwiń się w spiralę
tak łatwiej prościej
odejdz miękki jak pani z parasolem
fircyk w podrygach a nuż ogłuszysz
zgrzyt wiedzy o kości i darcie skóry
taflą światła stamtąd
gdzieś szedł miał zamiar dojść.

Zapomnienia

Winem podpełzasz w opadanie wstecz
Zostawiasz but wczorajszy i rozmowę z krawcem
Czerwień i niebo jedna powierzchnia oczu
Myślisz byłem aniołem ale twarz przejął człowiek
Na chybił trafił owczarek Pana Boga został bratem

Wino nie zamarza i myśli nie zobaczysz na powierzchni

Brwi wbite kopie przed źródłem
Zapomnienie fontanna światła dzikiego od uwięzienia.

PRZED SNEM

Wypełniam siebie ludźmi
po brzegi, po najwyższe piętra,
pragnień i zapomnień czyichś twarzy
znanych, nie znanych i natrętnych,
szpilkami tkwiących w moim ciele.

Ręce,
 głowy,
 oczy,
 zęby —
dzień rozebrany na części,
twarze — twarze — twarze,
zamykają mnie w ciasnym kółku:
niechęć wahanie
 prawdopodobieństwo

Zasypiam nakryty rzesami
tysiąca znikających słów,
dnia na powrót składanego.

A DZIEN

Chcesz wychylić siebie z brzegów
kolory idą więc spostrzegasz
suma rozchwytywania oczu
wprzęgasz w drogę miskę
ziarno pali pod stopą
drzewo koronę we włosy wplata.

Jesteś zawieszony ptakiem
noc wyrzuca ciebie rybą
łapiesz trzecie rozwiązanie
oto jesteś w grotesce
pytasz o cel i sens
ale nikt nie słyszy
stąd odwaga na czekanie.

A dzień zlepia cię z części
musisz być konkretem
w trójwymiarze

do prezentacji i przedstawień
sobą aniola albo wilka
czasem cyfrę lub słowo.

TRZY RZEKI

Tadeuszowi Fiszbachowi

Gdy wejść w dzień,
wpływają we mnie trzy rzeki,
na brzegach zostawiam
skorupy dzbanów antycznych,
przedmioty własnej alchemii.

Wpływają we mnie trzy rzeki:
rzeka troski,
rzeka smutku,
rzeka podróży wśród głązów.

Pośród skamieniałych twarzy bliźnich
szumi
moja głowa — źródło trzech rzek.

ZYCIORYSY

Ciche domki
budujemy na gwieździe.

Kawałkami nieba
naprawiamy spodnie,
wędrujemy przez dziesięć krain
swoich rąk.

Odпочywamy na chmurze,
w pióropuszech światła,
wokół bani
przestraszonego słońca.

Wychodzimy nadzy,
wracamy
jak kłowni wystrojeni.

ROZBIERANIE DO KRĘGOSŁUPA

Takie jest rozbieranie do kręgosłupa:
wchodzisz w zbiegowisko
i rozchwytują cię nie pytając o nic;
ona zabiera część barwną,
on kradnie inną — jest gospodarny.
Rozchodzą się roznosząc w przeciwne strony.
Jesteś w nich w miarę potrzeby i do czasu,
aż kiedyś umierasz lub zabijają.
A najlepiej — zapomną,
to najwygodniejsza postawa
dla obu stron.

Ale oto spostrzegasz: Kto to jest ja?
Tu nadgryziony, tam odarty,
ślad tyłu rąk, miejsca po słowach,
którymi rzucano do ciebie jak do rzutki.
Albo lepiej — słowa obsiadły kręgosłup,
uzupełniano ciębie.

I znowu wracasz do zbiegowiska.
Inne twarze, inne głosy,
i ty jesteś inny — więc proces od początku;
licytacja ciebie w szczegółach.
A ty godzisz się: Kto da więcej?
Rozbieranie do kręgosłupa po raz setny.

Potem zbliżasz się do końca,
chciałbyś obejrzeć w nich siebie.
Oni rzucają ci grosze i życzą dobrej drogi.

MŁODOŚĆ

Moja młodość klęka na dnie
ogrodów bez drzew i owoców,
odchodzi zabląkana dezerterka
ostrzyżona z fantazji.

Tyle schyleń po szczęście
uczyniło mnie
zesztywniałą podkową.

CZEKANIE NOCĄ

Palce oddają czerwień
cień krwi
przechodzi w słup o tysiącach wież czekania
oddal ode mnie pustynny krzyk
zachowaj w żyłach wszystkie barwy
chronź moje uszy od głosu
sufitu i ścian klatki z tarcz
jestem środkiem twoich oczu
więzień za kratą wygiętych brwi
wysłuchaj mnie wyblakłego z dnia
proszę zabierz tę noc w drzewie i kamieniu
w liściach z nocnych ogrodów wyobraźni

Świcie przyjdź listem od milej

GARBUSKA

Anioł, który nigdy nie był w niebie,
siedzi na krześle krasnoludków,
obok pochylona matka,
jedyne dach przystani.

...chroń mnie od wichru spojrzeń,
ratuj od słonych kropel łumu,
przyznij dzieciom spiczaste garby...

Zmęczony anioł bez skrzydeł
łapie promienie jak piłki.

...jestem szklaną górą,
wszystkich rycerzy odesłałam z niczym,
jestem śmieszoną królowną
w szklanej, bolesnej górze...

SEANS

Myśli przestawiają przedmioty w pokoju,
unoszą i wywracają stół i łóżka:
zaczyna się seans siebie dla siebie,
tysiąc moich ja na spotkanie wyrusza.

Pragną spotkania i spotkać się nie mogą,
drepczą wokół mnie ze skóry i kości
i wyruszają w moje ciało jak w daleką drogę.
Zwyciężony otwieram bólem bramy na oścież.

OCZEKIWANIE

To miasto przybliżasz przed oczy:
kanały z powietrza, na dnie
nowy strumień — przechodzisz włosami czesząc powietrze.

Na moich rzęsach płatek śniegu osiadł,
świat zagwieździł się i wyrócił nagle...
Twój obcas niebo nad widnokregiem depcze.

Niski promień przewiesza moją głowę
przez twoje piersi.

Świat się niedoszłym listem zamknął
w moim oknie.

Otworzyłem okno i całowałem powietrze:
ciebie nadaną przez wiatr.

CHORY TOBĄ

W tym dniu
widnokrąg zawęziłaś wokół mojej szyi.

Słońce zachodząc za dachy
ubrało komin w wieżę cerkiewną,
ale ja nie mam żadnej modlitwy
prócz słów do ciebie.

Wracam,
każdy krok,
jakbym, uwięziony w miejscu,
usiłował chodzić po wszystkich ścianach.

Ten dzień bez początku i końca
chcę wystrzelić najdalej!

Ale on uwiązał mi u szyi,
i ja jestem wciąż chory tobą.

LIST

Tam
ręce twoje wyciągnięte westchnieniem
zapalają skrzynkę pocztową.

Tu
na poczcie z okienek wyfruwają gołębie,
spłoszone urzędniczki twarzami zasłaniają okienka.

W zamkniętej kopercie złożyłaś dłonie:
biała koperta — opłatek nadziei,
ruch twoich rąk zatrzymany w moich.

Ty
przedłużasz się we mnie
drogą graniastosłupa wyznaczonego powierzchnią
listu,
cząstką z oddali wysłanej taflą światła
we mnie.

WIERSZ PISANY W WARSZAWIE

Nie afisze rozlepić na murach,
raczej kształty liści przewidywać!

Wisła wydłuża się w
dłoń sfalowaną przed pierwszym akordem fortepianu.

Oto mosty podejmują cię:
zjawę, kształt powietrza w wietrze.

Autobusy — płomyki rozproszone
po starciu mnie z tłumem...
Znowu szczegóły z twarzy dziewcząt
gromadzę w wizję ciebie.

NIEOBECNA A TRWALSZA OD POMNIKÓW

Ściągany iglicami wież,
tłum mnie podaje ich ostrzu!

Ja — ociosany powietrzem,
powiew wiatru rozwiązuje krawat:
wiosna najzwinniej faluje ludźmi.

To miasto gdzieniegdzie łagodzone gołębiami,
w neonie przedwcześnie dojrzały kwiat jabłoni,
jakby inżynier światła kolor twojej sukni zgadł.

Patrz,
rzekę przewidzenie w twój szal wyolbrzymia,
statek jak owad usiadł — gońmy!

Wisła miasto-serce na dwie komory rozcina.

Wiosenną wiotkość twoich palców nuce.
Ty, nieobecna, a trwalsza od pomników.

OCZEKIWANIE Z SZYN

I ciszę uciszyć,
aby usłyszeć tam twój oddech...
I ściany zniweczyć,
aby zobaczyć twoje oddalenie...

Oczekiwaniem
ustawiam dwie ciężkie szyny,
ale szyn wciąż przybywa,
więc ramiona unoszę — drogowskaz
dla ciebie — —

Na pewno błędzisz gwiazdami zmylona.

PODRÓŻ DO CIEBIE

Oderwany ze sznura korali,
ziemia upuściła mnie lekko.

Stacja wyrzuca w światło,
pociąg toczony przez tłum
do ściany prześwietlonej powietrza.
Dalej rozwijam kroki w linię,
na której prostokąt domu
i ty osrebrzona oknem
pajęczyny srebrne wyplatasz
od drzwi do stołu, do kuchni...

Cieniem przychodzę w twoje okno,
ścichnięciem gwiazd, ich przestawieniem.
W pokoju nawijam twoje niepokoje
na palce, na ręce, na szyję...
Duszony radością rozsuwam ściany
i świat tworzę jak geometra,
a w nim nas ustanawiam
jak stwórcę.

Z TOBĄ

W tramwaju
wydostają źrenice z twoich włosów.

Miasto płonie i wieże ustawia w kozły.

A my wzrok utrwalamy od szczytu
do szczytu, i dalej — —
Brudną chmurę jak czystą bieliznę rozwieszasz.

Ty zachmurzona, więc kamienice prężą się
od wewnątrz.

Idziesz po swoim smutku jak linoskoczek.

Zamiast wybuchu
wiatr rozplomieniał twoje włosy.

SPACER

Krok z twoim parzysty
rozwija drzewa za nami.

Stajemy:

drzewo układa się w koronę,
wiejska kobieta otulona chustą
błogosławi nas tysiącem liści
jak dłońmi.

O jedno spojrzenie szybsza
mrugasz,

rzęsy przedłużają promienie
i

radość rozsadza mnie w bezruch.

Nie broń mi

rzęs zatrzymać na wieczną pamiątkę,
wkuć w siebie z twoim cieniem.

Idziemy:

twoje włosy przemieszane z wiatrem,
dwa strumienie
o dzień jutrzejszy wsparte.

ŚWIATŁA WODOSPAD POD POWIEKAMI

Kawałek lodu skupił tęczę,
ogień,
który przeszedł przez filtr mrozu.

Ty, w płaszczu z kołnierzem wiewiórki,
co w szyi gniazdko uwiła,
idziesz ulicą po słońcu,
którego powierzchnię rozciągnięto na ziemi
i gwiazdkami śniegu przybito
twoim wysokim obcasem jak młotkiem.

Dziewczyno zimowa w płaszcz otulona,
spojrzeniem przyciskasz skry, co trzeszcząć
chęć z ptakami ulecieć.
Stąd ból w moich oczach zatopionych
w świetle nagle wpływającym pod powieki
jak wodospad.

PRZEZ MIASTO

We dwójkę przywracamy miastu kolory,
tniemy kamienice na klocki dla synka.

Rzęsami strzepujesz światła latarni
z moich oczu.

Ja,
od krążenia chory,
od stóp do głowy pozbawiony ciężkości,
jakby ruch samochodów w światło mnie wtarił.

Twoje spojrzenie przywraca mnie — tobie.
Ty — we mnie najtrwalszy odniesienia układ.

Uwielokrotniasz siebie:
swoj profil nakładasz na szyby domów.

Tramwaj nasze powietrzne postacie dalej odwiózł,
jakby ukradł.

* * *

Jesteś tęczą po horyzonty —
tęczą, która boli kilkoma kolorami.
Gdy przechodzisz przez pokój, przedmioty jaśnieją,
powietrze szturmuje okno.

Potem cisza — gubimy słuch.
Potem pustka — tracimy wzrok.
Na koniec odchodzi dotyk.

I znów jesteś świtem.

TY OBOK

Kłękasz i płomień wybucha.
Ożywiłaś piec.

Otwierasz okno i ptaki ptasieją.
Słyszę.

Nachylasz się i zakwitasz czernią.
Włosy opadły wzdłuż.

Słowa bawią się w „mam chusteczkę haftowaną”.
Otwierasz usta.

Wyciągnąłem rękę,
ale nakryłaś wzrok,
dotknąłem twoich kolorów
i dokonało się pojednanie horyzontów.

W linii ruchu uwięziłaś moje oczy.

DWA TEATRZYKI

Ninie, żonie mojej

Jesteś po prostu niebieskoróżowa
jestem po prostu niebieskoszary
jesteśmy w szmatki ubrani
dwie kukielki małych teatrzyków
ustawionych w świecie cyrku
obracają nas wokół areny
ty jesteś pierwsza
ja jestem drugi
nic nie ma wspólnego między nami
niebieskie nie nasze nie twoje nie moje
i dobrze że niebieskie nie nieba
niczyje niczyje

W cyrku stoją dwa teatrzyki
jeden po prostu niebieskoróżowy
drugi po prostu niebieskoszary
codziennie dajemy przedstawienie
każde jest dla nas premierą
inni widzą zawsze to samo.

W KAŻDYM CALU CHŁOPSKI

Tu — wracam,
jakby mi ktoś ciężką zbroję odjął.

Syn niewierny, a przywarł
do tej ziemi,
jakby jej ranę leczył po wybuchu.

Tu — jedno tętno włącza oddech,
przechodzę przez wieś
na uśmiechach kołysząc dzieci,
chłopom kłaniam się,
jakbym ich prosił o przebaczenie.

Ja w każdym calu chłopski,
choć nie umiem pług utrzymać,
siać nadziei w każdym ziarnie.

Ja, naszpilkowany światłem,
nie umiem nocą przejść przez wieś.

Odchodzę stąd
i gubię siebie w każdym kroku.

WIARA

Mówisz

„tu zapanują kwiaty i wzejdą góry,
w ogrodzie wyhodujemy słońce
doskonalsze niż u Van Gogha”.

Zbierzesz rosę,

aby wpiąć we włosy.

Wiem, gwiazdozbiór poniesiesz.

Mówisz

„najsilniej trzeba kochać bzy”,

zieloną modlitwą proszą pąki,

gdzie spojrzę, twoje oczy.

Wiem, tyle luster chodzi za mną.

Mówisz

„świat zaziarnił się w maku”.

Wiem, przetrwamy obszar i ogrom.

PIERWSZA ZIELEŃ

Pierwsza zieleń dla oczu
to pierwszy pocałunek dla ust:
szumi w głowie i tętni w żyłach,
zamieszkujemy wszędzie, gdzie słońce.

Podajemy dłonie i zamykamy dzień
w kółku z naszych ramion.
Krzyczę patetycznie:
„Wydarłem światu jeden dzień.”

Zieleń nabrzmiałych pąków —
wiosna zakwita pierwszym kolorem.

OTWARCIE. WIOSNY

Niebo powleka barwą kwiaty,
pąki rozsadzają drzewa w przestrzeń,
okna ustawiają się w drodze do słońca.

Na drutach jaskółki w pięciolinii,
więc ptak wędrowny trubadur
korzysta z nut.

Wieża wdziewa chmurę jak chorągiew!

Idziesz łagodzona liśćmi,
podwyższasz kwiaty do oczu,
osłaniasz kształty drzew
jak pomniki.
Gałązkę wiatr w twoje włosy wplół.

Dokonałeś otwarcia wiosny.

WSPOMNIENIE

Znam cię z epoki,
gdy urzędowałaś imieniny dla pani Dyni.
Dwie kokardy ścigają się klute wiatrem,
do boźnicy chłopcy wpuszczają wróble;
mama cię pociesza, ale tobie wciąż żal ptaków.
(Nie zauważyłaś siedmioletniego generała...)

Znam cię z epoki,
gdy zazdrościłaś chmurom płynącym na promieniach,
wtedy napisałaś pierwszy wiersz, bo dostrzegłaś ogień
[w słońcu.

Miałaś kilka lalek — same dziewczynki,
gniewałaś się, że samolot to nie ptak;
co dzień byłaś starsza o kilka lat
i miałaś już nawet umrzeć, ale lat zaczęło ci ubywać.
(Generał został cesarzem, bo zjednoczył dwie ulice...)

W ostatniej epoce zostałaś dorosłą dziewczyną.
Myślałaś — miłość wypuszczono na wolność;

myślałaś — miłość to pani z kolorowych obrazków.
(Kiedyś mieszkałaś obok cesarza,
który kradł serca z fabryki zabawek,
aby ogrzać chorą matkę...)

Z PODRÓŻY

Twoje dłonie nad pociągiem
dwie chmury niższe
i
mijam z odrąbaną głową powietrzem.

Nagle pociąg do pośpiechu
jak konie roztrwaniające czas
na widoki trawy i źródeł.

Nad widnokretem
rozluźnionym od zieleni
zamigotałaś końcem szala.

Pociąg jak sierpem
ściął dwa zazieleniałe drzewa:
twój drogowskaz — już blisko.

WĘDRÓWKA

W górę płyniemy w towarzystwie świerków.
Staruszce, co widnieje kolorowym muchomorem,
całujemy dłoń.
Niebo siada na szczycie,
wejdziemy tam za chwilę wzburzenia.

Samotna dziewczyna idzie zboczem,
niesie biel czystą i lekkość jelenią.

Usiądźmy nakryci wiatrem,
strzeżeni przez słońce,
powiesz mi słowo, a będę je pieścił jak dziecko.

W ŚWIĄTYNI PO ŁOKCIE

Idziesz,
fartuch zbiera srebrne pyłki,
odkurza strumień światła...
(Fartuch kolorem przycichł
i groszki kulistość tracą
od starości...)

Dłoń
strzępki bieli w ruchu,
konstrukcje architektoniczne palców.

Jesteś Marią zanurzoną w świątyni po łokcie,
ręce twoje rzeźbią i ofiarę bezkrwawą składają...
Wszystko sprowadzono do symbolu:
zła cebula — łza sięga światła,
ziemniak rozwijany z powierzchni,
światło odgrzebujesz.

Mario w świątyni po łokcie,
kapłanko dnia powszedniego.

ZNIOŚLAŚ HORYZONTY

Twoje oczy o każdej porze
owoce źródlane
w przyjaźni z morzem wypełnionym po brzegi.

Ty, nieskończona w kwiatach,
róże oswoiłaś,
bzom nadałaś szlachectwo.

Zniosłaś wszystkie horyzonty,
aby świat zawęzić do nas.

WIEDZA O TOBIE W SZCZEGÓŁACH

Wczoraj obierałaś ziemniaki,
zachowałem cię w tej chwili na zawsze.
Potem skrobałaś marchew,
uczyłem się twoich ruchów na pamięć.
Dziś kroїłaś cebulę szklistą,
niewinną jak w zagadce:
„Gdy ją rozebrali, to nad nią płakali...”
I ty płakałaś śmiejąc się do mnie.

Patrzę aż do zaniku wzroku,
rzeźbię ciębie tysiackrotną:
z ziemniakiem, marchwią, cebulą,
w dniu świątecznym i w dniu szarym.

Moje zdobywanie wiedzy o tobie
z promieniem na ręce, z promieniem na czole,
z promieniem w oku.

OCZY

Najpierw przechodzą morza.
Ukryj się w śladzie stopy samotnej,
ptaki zaśmiewają się na śmierć
z tych żółtych kaczeńców w oczach.
W morzach ryba nosi pióro w ustach.

Potem morza znikają w tłumie.
Tunel w powietrzu przekreślają ciała ludzi —
nie ma łagodnych przyływów i odpływów
albo kolory twoich sukien przechodzą sztormem lub cicho.
Najwyżej palce zniewieściałe od czekania.

Na koniec usta usadowią się w nocy,
popłynie górską krew nad stopą,
a morza będą daleko — —

Za horyzontem dzień.

W CHOROBIĘ

Twarzą swoją jak słonecznikiem
obracam za głosem twoich kroków.
Twarz moja jak słonecznik pragnie ciebie,
twarz moja bez napęczniałych ziaren,
które zabrano jakąś obcą ręką
na chwilę przed wschodem tysiąca słońc.

We wszechświecie, którego środkiem głowa,
wędruję po świetlistych orbitach.
Wyrwać się z wnętrza nie mogę,
ułożony na smugowym kółku,
przestraszony spadam w przestrzeń.

Jestem w krainie olbrzymich twoich palców,
pod którymi tli się ziarno —
moja głowa.

*
* *
*

Gdyby przeniknąć się sobą
warstwą dwu wiatrów,
a nawet wodą i winem.

Mówisz
„zamień mnie w brzozę”,
nie wiesz,
ten dzień zamienił się w brzozę,
w odcinek Drogi Mlecznej.

WIOSNA ZA MIASTEM

Wiosna,
całodzienny świt dla miasta.

Okna otwierają błysk,
tysiąc reflektorów zjeżyło się we mnie!

Ze wzgórza oglądam miasto
jak gospodarz wschodzące zboże na wiosnę.

Idę,
matka ślaniając się wypuszcza z płachty
śpiew skowronka — —

Ziemia oddechem wyrzuca mnie
jak wyrzutnia:
podwyższony o tysiąc miar
schodzę
matce ulżyć grudką ziemi dźwiganą od urodzenia...

Ale za małe mam ręce
i przerażenie z niewiary.

Wracam do miasta
jak z wymiaru w wymiar.

KOPANIE ZIEMNIAKÓW

Pola oblegają horyzont,
oracze rozwijają płaszczyzny.
Czerń skraca odległość,
widzisz ognie — konstrukcje szczęśliwe
pasterzy.

Zniżasz wzrok: szare
kopanie ziemniaków,
ludzie w rytmie pochylonego konia
klęczą przedślubnie —
bezbożna czapka,
chusta pełna kolorów.

Blżej
motyka — wyciągnięte palce
do słońca,
dymy, języki objawionego wiatru.

Dalej
dachów spokojna siwizna,

drzew płomienie,
ludzie mówią „rude”,
żółte w zieleni,
zielone w żółtym...

O, zdążyć przed północą jesieni.

JESIENNIE

Słońce ścina wierzchołki wychodzące naprzeciw,
liście kocio lgną do ziemi,
jesienny grad żółty metalem kona.

Gna wiatr o barwach ołowiu,
przenosi miejsca.

Nabierasz w garście nieba z powierzchni okna.

Kamienice smołą ustalają kształt,
rycina średniowiecznych mieszczan
śpiących w profilu.

Za nimi słońce przykucnęło — zabawa w chowanego,
potem słońce ucina sobie głowę
i stąd noc.

W POLU

Zieleń wsiąka w twoje włosy,
boimy się zdeptać wschodzące trawy.
Napełnia nas radością
cicha rozmowa oczu.

Potem rozwiązujesz ptakom skrzydła.

Pole rozbrzmiewa pieśniami dla ciebie,
zbliża nasze ciała
do barwy nieba.

BRACISZKU NIE PYTAJ SZCZERZE

Mój braciszek pyta
„czy jak biegnę to kroki słyhać w niebie”
staje potem zamyślony
i patrzy w niebo
wtedy ptak zasłania niebo
wtedy samolot zasłania niebo.

Mój braciszek pyta
„czy samolot to niebo”
i biega wokół mnie
malutkie niebo
w którym mierzą bez miar
w którym ważą bez wag.

Mój braciszek pyta
„czy kupisz mi okrągłe niebo”

.

Wiem
Będę z nim rozmów unikał
dopóki nie przestanie pytać
szczerze.

KRAJOBRAZ MOJEJ WSI

Krajobraz mojej wsi wzrastał w mieście,
ja ruchem upartym winorośli
wiłem się po murze zawsze obcej Alma Mater.

Chciałem słowa z książek obwołać czynem.

Upór chłopa wyostrzałem jak topór,
wycinałem miasto w promieniu siebie
dla krajobrazu mojej wsi.
Sadziłem wierną topolę — ukrzyżowaną oknem.

Z ŻYCIORYSU

Na wsi, za krowami strzelając z bata,
śledziłem strach w ich oczach —
ze dziwieniem przyjmowałem
to pierwsze zawładnięcie światem.

Potem wóz chłopski wywiózł mnie w świat,
ojciec trzymając lejce ustawiał
gwiazdy na głowach koni,
uśmiechał się, jakby moją dumę odgadł.

Czy wiedział,
że w świecie chłopskości swojej będę bronił
i zamiast pługa utrzymam pióro w dłoni?

Czy ojciec wiedział,
że zrywając z rodzinnym berłem-pługiem
nie przestanę być Ziemi szczerym bratem
i aby przejść ojcowską miedzę,
będę odpłacał wciąż od nowa zaciąganym długiem?

CEL

Julianowi Przybosiowi

Mój wzrok utrzymuje horyzonty,
łączy cel ze mną.

Co dzień
szare barwy dobieram
dla jutrzejszych krajobrazów.

Tu
niebo zrównane z ziemią,
ruch spięty w linię —
wydłużony cienko grozi pęknięciem.

Ja,
z tej linii jak zongler,
odległością chcę wyplatać formy
zamieszkania w świetle
i lot odbywać jak spacer.

Dzień
jak piłkę barw
ustawiam dla wzroku,
wywracam dzień na drugą stronę
jak płaszcz wypłowieły.

Zatrzymuję w ręku horyzonty
wciąż odchodzące ode mnie.

CHCE

Chcę,
aby uczucie miało skalę sejsmografu,
krok odmierzał cel w milimetrze,
wzrok oddawał barwę ponadwizualną...

Oto,
ja niekonsekwentny,
żyłem najtrwalej w strachu,
w krzewie widziałem palmy
a zmianę w wietrze...

DWUDZIESTA TRZECIA

Dwudziesta trzecia kwitnie jabłoń,
ptak coraz serdeczniej się przymiła.

Sumuję dziś twoje i moje oddechy
w westchnienie-toast.
Od wzroku mego już nigdy nie stron.

Odtąd
w tobie i we mnie jedna chwila.

DO ŻONY

Odtąd życie dzielimy między siebie.

Ty
nadajesz kształt rzeczom na powierzchni.
Ja
co dzień na dnie odnajduję każdy kamyk
i nie wracam stamtąd nigdy za wcześnie.

Życie odtąd każdy z nas kradnie.
W jednym domu zamykamy
i myślimy potem jednocześnie:
Jak długo,
jak długo to będzie trwać?

ON

Co dzień odwijamy jedną fałdę świata,
na rękach kołyszymy nie wzeszłe słońce
z promieniem pierwszym słowem.

Syn nasz za jeszcze jedną taflą światła.

Więc człowieka obniżamy na poziom oczu.
Niewidoczny — a wzrok zawężasz od jasności,
ja czekam na wybuch dla drzew i w niebo,
dla nas — na kołysanie słońca w dłoniach.

Widzę:

zieleń z liści wpławiasz w oczy,
wyplatasz warkocz z promieni i włosów.

Wiem,

on będzie barwą misternie zdjętą z drzew,
światłem ogrzanym w naszej dłoni.

TY A TY

Wspierasz mnie
w chwilach mgły i deszczu,
w myślach stłoczonych mrowiskiem...
Wspierasz mnie a wsparciem tym
podtrzymuję ciebie —
droga od spojrzenia do spojrzenia:
stawanie się najpełniejsze nas w okamgnieniu.
Chęć zatrzymania mgnienia nadaremna,
i znów szukanie ty a ty
zjawiskiem...

Najszczersza nasza podróż
odcienia
albo
ty w słowach i ruchu,
konstrukcje trudne ze szczytów...

Stąd konstans
ty a ty.

NINA

W porze przerażenia
zakwita twarz Niny,
włosy odzyskują cień
zakonnego kaptura.

Nina schodzi bez siebie
i oczom nie ufa.

O świcie
ręce jej wplątane w światło,
więc światłem wyciera oczy:
żrenice zawęża ukrywając siebie

W dzień
Nina martwą i żywą naturą
z odwiecznym jabłkiem
i kłębem kłopotów.

*
* *
*

Światło ci ofiaruję najpierwsze,
boś źródłem światła i bezkresem.

Ofiarować ci mogę
owoce wyobraźni, oczy nad miarę,
barwy bez nazw — podróże o tobie.
Odwracanie dla ciebie świtu na zawołanie
jak kartki książki.

NASZ SYN WEJDZIE W ŚWIATŁO

Nasz syn wejdzie w światło
Ziemi, która odtąd światło będzie rodzić.

W przestrzeni zamieszka równy ptakom,
ale skrzydła nie będą go więzić jak ptaka,
zobaczy wszystko prześwietlone swoim wzrokiem
doskonalej niż ty, stojąc przy rentgenowskim aparacie...

Nasz syn wyrośnie z nas strumieniem światła,
nad drogą przejdzie, gdzieś ty nogi ranila,
ja brnąłem nosząc prostokąt wokół siebie
i wzrok kaleczyłem podczas błyskawicy.
Nasz syn z błysku narzędzie zrobi,
jak ja robiłem pajaca z plasteliny...

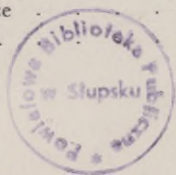
Nasz syn wejdzie w światło
Ziemi, która odtąd będzie światłem.



SPIS RZECZY

Słowo wstępne	5
Matko	7
Niemoc	8
Historia	9
Pod pomnikiem	10
Wejście w noc	11
Niewidomy	12
Szansa	14
Królestwo nagich ścian	15
Niepokój o miejsce	16
Ziemi czarnej nie przyjmą do nieba	18
Usiłowania	21
Przed snem	23
A dzień	24
Trzy rzeki	26
Życiorysy	27
Rozbieranie do kręgosłupa	28
Młodość	30
Czekanie nocą	31
Garbuska	32
Seans	33
Oczekiwanie	34
Chory tobą	35
List	36
Wiersz pisany w Warszawie	37
Nieobecna a trwalsza od pomników	38
Oczekiwanie z szyn	39
Podróż do ciebie	40

Z tobą	41
Spacer	42
Światła wodospad pod powiekami	43
Przez miasto	44
Jesteś tęczą	45
Ty obok	46
Dwa teatryki	47
W każdym calu chłopski	48
Wiara	49
Pierwsza zieleń	50
Otwarcie wiosny	51
Wspomnienie	52
Z podróży	54
Wędrowka	55
W świątyni po łokcie	56
Zniosłaś horyzonty	57
Wiedza o tobie w szczegółach	58
Oczy	59
W chorobie	60
Gdyby przeniknąć się sobą	61
Wiosna za miastem	62
Kopanie ziemniaków	64
Jesiennie	66
W polu	67
Braciszku nie pytaj szczerze	68
Krajobraz mojej wsi	70
Z życiorysu	71
Cel	72
Chcę	74
Dwudziesta trzecia	75
Do żony	76
On	77
Ty a ty	78
Nina	79
Światło ci ofiaruję najpierwsze	80
Nasz syn wejdzie w światło	81



Redaktor: Anna Wróblewska
Redaktor techniczny: Joanna Zaleska
Korektor: Krystyna Sambol

Wyd. I. Nakład 1000+290 egz. Pap. druk. ilustr. kl. III, 70×100 z fabryki w Janowicach. Oddano do składania 17. II. 1961 r. Podpisano do druku w kwietniu. Druk ukończono w kwietniu 1961 r. Ark. druk. 5,25, ark. wyd. 1,5. Nr zam. 278. A-14
Toruńska Drukarnia Dziełowa, Toruń, ul. Katarzyny 4

Cena zł 10,—

KT
16

Miejska i Powiatowa
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. M. Dąbrowskiej
w Słupsku

Kr invent. 32932

MBP Słupsk Centrala



32932